

DAWID GRZEGORZ BISKUPSKI

# LUCYFER.

GWIAZDA  
ZARANNA



#1 SHORT |

# LUCYFER. GWIAZDA ZARANNA

*Myśląc o Tobie*

*Pisane warszawskimi nocami 19.03.2016-19.06.2016*

*„Krótko mówiąc, jak można wierzyć w diabła? Tradycyjna odpowiedź, iż zło jest czystą negacją, nieobecnością dobra, że jest niejako dziurą w zwartej masie bytu, nie usuwa wątpliwości, skoro potrzebna jest jakaś negatywna energia, by tę dziurę wydrążyć. I skądże ta energia pochodzi? Jedyna odpowiedź, jaką wiara w jedyne Stwórcę podsuwa, jest taka, że energia ta musi wywodzić się z tego samego źródła, że oko, które spogląda na świat z punktu widzenia całości, potrafi wykryć wszechobejmującą miłość bożą również w pozornych monstrualnościach, dostrzec miłosierdzie w okrucieństwie, harmonię w walce, nadzieję w rozpacz, ład w rozkładzie, wzlot w upadku.”*

*Leszek Kołakowski „Czy diabeł może zostać zbawiony?”*

Słońce powoli zachodziło poniżej nieregularnej linii wieżowców centrum. Żółte rozbłyski miarowo przesuwwały się po szkłe i stali, na tyle silne by oświetlić pracujące jeszcze biura. Prawnicy, specjaliści, menedżerowie. Ściśła czołówka potencjału i możliwości zasuwiała nad raportami, papierami i mailami. Jakiś szef zaprosił sekretarkę do biura i lizał zawzięcie trzęsąc tysiączką głową, czekając aż mała niebieska pigułka zacznie działać. Na szczęście nie będzie musiał czekać tak długo jak ona czeka na moment, kiedy zostawi swoją żonę. I może spodziewać się znacznie większego prawdopodobieństwa sukcesu. W innym biurze świetnie zmotywowany pracownik zmieniał świat przez odpowiednie ustawienie marginesów, dobór kolorów i wielkość czcionki.

On obserwował to wszystko z tarasu widokowego Pałacu Kultury. Patrzył z przyjemnością, jednak bez satysfakcji. Nie miał w tym udziału – to tylko ludzie ludziom gotowali ten los. No, przykładał się do tego Legion, jednak ich działania przypominały bardziej żer na pobojuwisku. Sama bitwa – czysto ludzka zastuga.

Czuł coś. Coś dla czego nie mógł już do końca znaleźć nazwy – tak długo już mu towarzyszyło. Żal? Smutek? Rozpacz? Przyzwyczyił się chyba, mimo że z początku to uczucie nie pozwalało mu na nic innego niż płacz. Leżał wtedy, na samym początku, skulony z kolanami podciągniętymi pod brodę. Miał jednak w sobie coś jeszcze, coś, co w końcu pozwoliło mu się podnieść – poczucie misji. Wiedział, że to uczucie jest konsekwencją jego świadomego wyboru. Czuł je, bo odważył się myśleć

samodzielnie. Nie zgodzić się z rzeczywistością którą mu zaproponowano. I to uczucie było konsekwencją tej niezgody. Nauczył się je akceptować, walczyć z nim, spychać w podświadomość właśnie dzięki misji – wiedział, co musi zrobić. On przeciw wszystkiemu. Przeciw NIEMU. A zadanie jakie sobie postawił – przekonać go. Że się myli. Że po raz pierwszy odkąd zaczął się świat – MYLI SIĘ. I on mu to pokaże.

Dopalił papierosa, zatkniętego w srebrny, rzeźbiony ustnik i strząsnął go na posadzkę tarasu. Niektórzy pewnie uznaliby ten sposób palenia za pretensjonalny. Wybór był jednak dla niego czysto pragmatyczny. Palenie było jednym z rytuałów, jakich nauczył się na ziemi. Nie lubił jednak jak ręce przesiąkały zapachem tytoniu. A że ustnik był ze srebra rzeźbionego przez najlepszych jubilerów ubiegłego wieku, cóż, nie w jego stylu było otaczać się tandetą. Schował ręce w kieszeniach Inianej kremowej marynarki i skierował się do windy. Dziesięć minut później wsiadł już do czekającej na niego limuzyny.

Skinął na powitanie szoferowi. Szczupły mężczyzna w okolicy czterdziestki podchwycił jego spojrzenie swoim jedynym okiem i odwzajemnił gest w milczeniu. Doskonale wiedział, że jeśli On będzie chciał, odezwie się jako pierwszy. Kierunek – dom. Ruszył dynamicznie i już po chwili mknął ulicami Warszawy. Styl miał odważny jak na osobę pozbawioną możliwości widzenia głębi. Jakoś nie przeszkadzało mu to idealnie i w takt wymijać kolejne auta, a co ważniejsze nie przeszkadzało to jego pasażerowi. Ufał

w pełni jego umiejętnościom. Na miejsce przybyli dokładnie w kwadrans.

Przez ostatnie lata dom oznaczał górne piętro starego budynku fabrycznego na pradze. On szukał światła, więc wybrał miejsce gdzie szczyty były oryginalnie przeszklone. Oczywiście nie byłoby problemem usunąć wszelkie przeszkody w ratuszu i wybrać dowolny budynek. Jednak po ekscesach pierwszych 50 lat bezpośredniego eksperymentowania na ludziach zmienił podejście. Przez ostatnie dekady raczej zadowalał się obserwacją i chirurgiczną precyzją. Dawało mu to dużo więcej satysfakcji i pozwalało na zdobycie lepszych, bogatszych informacji. Prawdziwa wiedza zawsze dojrzewa w czasie.

Nie mówił oczywiście nie powrotowi do starych sposobów, planeta w końcu przeludniała się mocno, jednak żywił przekonanie, że te karaluchy same znajdą sposób na przetrwanie. Prędzej czy później. Przy okazji robiąc sobie jakąś bardzo wymyślną, absurdalną krzywdę i nazywając ją oczywiście najlepszym rozwiązaniem czy wręcz zbawieniem.

Wielu jemu podobnych miało mu to za złe. Jego nie ograniczały zasady, którymi oni musieli być bezwzględnie posłuszni. On mógł działać bezpośrednio, zmuszać, a nie kusić. Narzucać, a nie czekać na zgodę. Wiedział doskonale że skrycie nienawidzili go za to. Nie obchodziło go to jednak. Był zbyt potężny żeby mogli Mu cokolwiek zrobić.

Po powrocie posiedział trochę w kuchni karmiąc ciało, wiedział jednak że to dziś go nie nasyci. Uczucie dawało mu o sobie znać przez ostatnie dni i wiedział, że tylko działanie

może je z powrotem uciszyć. Nie było jednak powodu do pośpiechu. Lubił smakować swoje plany. Soczysty kawałek wołowiny wylądował na rozgrzanej patelni, sałata zalana miodem i musztardą czekała już na talerzu. Lubił jeść rzeczy proste. Przy odpowiedniej jakości składników zbytnia komplikacja tylko zabijała smak. Posiłek zakończył kieliszkiem czerwonego wina. Zaspokoił ciało, duch wciąż pozostawał głodny. Wyszedł na taras i wciągnął zapach miasta. Wąchał sytuację, smakował obecnie dziejące się wydarzenia. Wybierał potrawy na dzisiaj.

Na świecie było zaledwie parę osób, dla których to zachowanie było prawdziwie zrozumiałe. On sam nazywał to Świadomością Elementów. Fizyczny świat nie stanowił dla niego tajemnicy. Z pełną świadomością i w dowolnym momencie wiedział, co nastąpi, był w stanie łączyć fakty i planować swoje poruszanie po świecie z niemal pełną dokładnością. Rzucić monetą wiedząc dokładnie jak się odbije, przejść przez ruchliwą ulicę pewnym krokiem i z zamkniętymi oczami, idealnie wpasowując się między rozpędzone auta. Mówiąc prościej, świat był dla Niego i Jemu podobnych jak prosty szablon wyrysowany na kartce papieru. Widzieli jak na dłoni możliwe ruchy i umieli w nim precyzyjnie działać, a On był w tym zdecydowanie najlepszy. Więc, kiedy obserwował miasto, naprawdę śledził wszystko co się w nim dziś wydarzy. I bardzo świadomie wybierał kto i jak stanie się dzisiejszą kolacją dla Jego satysfakcji.

Zapach kolejnego, małego kawałka w wypełnianym przez niego planie był bardzo nęcący. Wziął prysznic,

założył czarną koszulę i trzyczęściowy garnitur w tym samym kolorze. Bocznyymi schodami przeciwpożarowymi zszedł na dół. Mógłby skorzystać z głównego wyjścia z mieszkania, jednak oznaczałoby to przejście przez środek „Światła”, nocnego klubu którego był właścicielem. W takie noce jak ta, wołał jednak zostawać sam. Wyciszyć się, przygotować. Przeciskanie przez tłum gości i kanonadę dźwięków zdecydowanie temu nie sprzyjało.

Brama garażu podniosła się z cichym szumem, ukazując szereg błyszczących grilli i nawoskowanych masek. Przeszedł się wzdłuż nich, zastanawiając który będzie najlepiej pasował do dzisiejszego posiłku. Ponad wiek przebywania na ziemi nauczył go lubić niektóre jej aspekty. Klasyczne amerykańskie auta dobrze wpasowywały się w jego gust. Zatrzymał się przed granatowym mięśniakiem. Mrucząc auto wyjechało z garażu i powiozło swojego Pana w noc.

Marta spojrzała nerwowo na zegarek. Nie lubiła się spóźniać. Na rondzie ONZ powinna być już 5 minut temu. Miała nadzieję, że Darek się nie pogniewa. Telefon oczywiście padł jej jakąś godzinę temu. Siedziała przy oknie w tramwaju, obserwując auta stojące na światłach po drugiej stronie szyby. Kierowca najbliższej niej chyba również był spóźniony. Co chwila nerwowo poprawiał ręce na kierownicy. Tuż za nim ustawił się granatowy amerykański wóz, w stylu tych widywanych w klasycznych filmach. Światła zmieniły się. Kierowca w granatowym aucie zatrąbił. Tylko tyle trzeba było, żeby mężczyzna z nerwowymi rękami ruszył z piskiem. Tramwaj, któremu za



moment miał przeciąć drogę stał jeszcze. Motorniczy zagapił się i ruszył rutynowo, nie sprawdzając sytuacji przed czołem wagonu. Całą uwagę skupił na bocznym lusterku wpatrzony w amerykański wóz który zawsze chciał mieć. Ruszył i wbił się w bok auta nerwowego kierowcy. Tramwajem szarpnęło. Stłuczka. Nic poważnego, ale wystarczyło żeby Marta zamarzyła o tylko pięciominutowym spóźnieniu. Granatowe auto pojechało dalej, jakby nic się nie stało.

Michał szybkim krokiem przemierzał deptak ulicy Francuskiej. Poprawił mankiet. Był umówiony w restauracji na końcu ulicy z jakąś flądrą z Internetu. Miała fajne cycki z których chciał zrobić użytek dzisiejszej nocy, ale to nie dlatego się spieszył. On się po prostu nie spóźniał. Nigdy. Kropka. Dziś przed wyjściem musiał jednak wytłumaczyć ruskiej, która u niego sprzątała, co to znaczy dobrze wyprasowana koszula i jak bardzo może to wpłynąć na wysokość jej następnej wypłaty. Spojrzał szybko na zegarek i w następnej chwili wpadł na mężczyznę w czarnym trzyczęściowym garniturze. Porcja lodów czekoladowych ubarwiła jego białą koszulę. Skurwysyn zrobił to jeszcze tak elegancko, że całość oczywiście wylądowała tylko na nim.

- Noż kurwa Twoja... - zaklął, podniósł wzrok i zamknął się momentalnie.

Właścicielem porcji lodów był Łukasz Świetlicki, właściciel „Światła”. Klient jego kancelarii. Dobry klient.

- Panie Michale. Witam i przepraszam. - powiedział z uśmiechem Łukasz.

- Lody o tej godzinie.. - palnął w odpowiedzi Michał.

- Ah widzi Pan. Taka piękna pogoda... A pan taki nieważny, no i stało się – na tę uwagę Michała niemal załała krew. Musiał jak najszybciej odejść, żeby uniknąć utraty klienta i procesu o pobicie.

- Tak tak. Przepraszam, śpieszę się. – powiedział przez zaciśnięte zęby, odwrócił i oddalił szybko. Mężczyzna nazywany Łukaszem, nadal uśmiechnięty śledził go przez moment i poszedł w przeciwnym kierunku. Idealnie skrojony garnitur trochę odstawał od ubioru pozostałych ludzi. Lato było upalne i mimo wieczoru nikt nie odważyłby się na założenie takiej ilości materiału. Może to wyróżnienie było powodem, dla którego był odprowadzany wzrokiem przez wszystkie kobiety mijane po drodze.

Podszedł w końcu do jednej z nich. Takiej, która wywoływała podobne do niego efekty. Siedziała przy stoliku i rozmawiała z kimś. Jednak, kiedy On się pochylił, ta rozmowa jak i w ogóle człowiek z którym siedziała nie miały już najmniejszego znaczenia. Zbliżył się i szepnął jej coś do ucha. Ona zarumieniła się lekko. Zawahała na chwilę, rzucając krótkie spojrzenie na mężczyznę przy stoliku, ale tylko na chwilę. Wstała i odeszła z Nim nie oglądając się już. Porzucony siedział, zbyt zdziwiony, żeby się ruszyć. Założył ręce za głowę, westchnął głęboko i cicho zmielił przekleństwo.

Parę minut później On, z nią wtuloną w jego ramię skręcili w boczną uliczkę. Otworzył drzwi granatowego auta i po chwili ruszyli z piskiem opon. Jechali w milczeniu,

ale jej to nie przeszkadzało. Sama obecność nieznanego mężczyzny sprawiała, że robiło jej się gorąco. To było coś, czego nie przeżyła dawno. Dreszczyk którego żaden z wianuszków wiecznych adoratorów nie był w stanie wywołać. Zerknęła tylko spod długich, ciemnych włosów na jego ruchy. Oszczędne, pewne siebie. Męskie do bólu. Nim się obejrzała, byli przy polach mokotowskich tuż obok Ronda Jazdy Polskiej. On wjechał na chodnik obok przystanku. Wysiedli odprowadzani zdziwionymi spojrzeniami grupki osób czekających na autobus. Chwył ją za rękę i zaprowadził na sam róg ulicy, dokładnie naprzeciw pomnika.

- Życie to niespodzianka i potrzeba odwagi, żeby je odpakować – powiedział. Nie miało to najmniejszego sensu, ale sposób w jaki to mówił... Przyciągnął ją do siebie, ręką pogładził po policzku. Mógł z nią zrobić co tylko chce. Na razie pocałował tylko, ale za to tak, że kolana się pod nią ugięły. Kiedy skończył wyszeptał:

- Poczekaj tutaj.

Skołowana posłusznie została, a on podszedł do auta, wsiadł i pojechał. Dopiero po paru minutach zaczęła przychodzić do siebie.

- *Idiotka, mógł mnie przecież wywieźć gdzieś, zgwałcić. Kto to w ogóle był? Zostawił mnie tutaj. To jakaś gra? Może jednak wróci...* – myślała i nie ruszała się z miejsca.

Całą scenę obserwował młody mężczyzna stojący pod pomnikiem. Z bukietem czerwonych róż. Jego dziewczyna, Marta, spóźniła się i nie odbierała komórki. Kłócili się ostatnio często. O pierdoły. Zaczynał się zastanawiać, czy

to wszystko ma sens. Patrzył, jak para nie z tej bajki – on, wysoki, w idealnie skrojonym garniturze i ona, zjawiskowa wręcz i totalnie w niego wpatrzona stają kilka metrów dalej.

- *Tak powinny wyglądać związki* – pomyślał kiedy tamci się całowali. Po chwili on odjechał, a ona została. Nie mógł oderwać od niej wzroku. O Marcie wołał nie myśleć, nijak nie przystawała do zjawiska które stało przed nim. Mijał czas, pięć, dziesięć, dwadzieścia minut. Miarka się przebrała. Miał w ręku kwiaty, szczęśliwy los zesał mu szansę. Zebrał się w sobie i podszedł do kobiety o długich, ciemnych włosach.

- On chyba nie wróci? – zagadnął.

- Co? Nie nie, ja czekam tylko... – odpowiedziała lekko zmieszana.

- Nie ma czego się wstydzić, sam też na kogoś czekałem. Darek – to mówiąc wyciągnął rękę w jej stronę. Zahałała się, już drugi raz w ciągu wieczoru. Wciąż jednak czuła ciepło które zostawił On i narastającą pustkę na samoocenie domagającą się wypełnienia.

- *Co mi tam* – pomyślała – Iza.

- Miło mi, Izo. Może pójdziemy na kawę? Niedaleko jest jedno przyjemne miejsce.

Iza nie za bardzo miała ochotę, facet który się jej przedstawił jako Darek nie był w jej typie. Ale pogodziła się już z tym, że On nie wróci. I tak już dzisiaj robiła głupie rzeczy. Jedna więcej nie zaszkodzi.

\*\*\*